

Monopol partii władzy na gruzach narodowego interesu

Autor: Witold Waszczykowski
24.07.2010.

Ekipa Donalda Tuska wtapia się w główny nurt polityki europejskiej, który kieruje nas na peryferie unijnego mechanizmu decyzyjnego. Zamiast składania wiernopoddańczego hołdu Brukseli, proponują nowo wybranemu prezydentowi odwiedzić najpierw Pragę, następnie Budapeszt (gdzie władzę odzyskał podobnie jak my myślący i ambitny Victor Orban) i zakończyć podróż kolacją w Bukareszcie.

Po raz pierwszy od 1989 r. partia rządząca uznała, że aktywna polityka zagraniczna w imię interesów narodowych może być porzucona, jeśli realizacja tych interesów przyniosłaby wizerunkowy uszczerbek w kraju i przyczyniła się do utraty poparcia społecznego. Zmniejszanie aktywności polskiej dyplomacji jest niebezpieczne w kryzysowej sytuacji, jaka panuje w najbliższym otoczeniu naszego państwa i w Europie. Mamy do czynienia z poważnym krachem finansowo-ekonomicznym Unii Europejskiej, rosnącą asertywnością Rosji na obszarze postsowieckim i wobec państw byłego bloku komunistycznego, ambiwalentną postawą NATO w obliczu tej sytuacji.

Platforma Obywatelska przeszła w ostatnich latach ciekawą, choć raczej negatywną ewolucję. Z partii programowej, skierowanej do określonego środowiska, wyznającego przeważnie liberalne poglądy, przekształciła się w dość bezideowy front, spajany głównie antypisowskimi sloganami. Wokół niej powstał szerszy obóz sympatyków zorientowanych na karierę u boku władzy, wspierany przez celebrytów ze środowisk kultury i mediów pod hasłami "anty kaczyzmu", zadowolonych z dorobku i układów III Rzeczypospolitej. Mimo sprawowania władzy od prawie trzech lat obóz ten nie zamierza podejmować istotnych i niezbędnych reform. Publiczną wymówką wstrzymywania reform były dotychczas rzekome działania blokujące śp. Lecha Kaczyńskiego. W rzeczywistości liderzy PO przyznawali, że ich ambicją było stworzenie i utrzymanie ugrupowania z jak najszerszym poparciem politycznym. Przykładem tworzenia takiego bezideowego frontu politycznego było formowanie reprezentacji Platformy do Parlamentu Europejskiego w ubiegłym roku. Obserwatorzy polityczni zatem dość zgodnie określili to zjawisko jako tworzenie monopolistycznej partii władzy.

Monopol jak dawniej?

Wydarzenia ostatnich miesięcy w Polsce sprawiły, że w praktyce całkowita władza w państwie została przejęta przez PO. Jej sympatycy dowodzą, że jest to sytuacja podobna do poprzednich. Jednak wielu obserwatorów zwraca uwagę, że tym razem jest ona dalece odmienna, gdyż poprzednie monopole poddane były licznym ograniczającym je zjawiskom. Otóż, za czasów pierwszego monopolu władzy lewicy wolno było mniej. Obóz, ten musiał uwiarygodnić swoją legitymację demokratyczną, wykazać się pewną poprawnością polityczną oraz determinacją w utrzymaniu prozachodniego kursu w polityce zagranicznej. Wszelkie zaś patologie i afery były wychwytywane i piętnowane przez czujne media. Również w latach 2006/2007 obóz rządzący nie był wszechwładny. Był poddany bezprecedensowej presji medialnej. Wielu liderów z tego okresu było wręcz demonizowanych i szkalowanych w publicznym dyskursie. Nie mogąc utrzymać kruchej koalicji, rząd PiS nie kontynuował jej za wszelką cenę i zdecydował się poddać wyborczemu sprawdzianowi.

Dzisiejszy obóz władzy nie czuje żadnych ograniczeń. Stosując na niespotykaną dotąd skalę instrumenty propagandowe, wtłacza społeczeństwu wykładnię, że jest bezpośrednią i zasadniczą emanacją antykomunistycznych ruchów protestacyjnych i dysydenckich sprzed lat. Umiejętnie stwarza wrażenie, że jest namaszczone przez środowiska kultury i inteligencję. Przedstawia się jako jedyna nadzieja dla młodego pokolenia. Z różnych powodów, w tym i błędów opozycji, obóz władzy zdobył olbrzymie wsparcie mediów, które nie rozliczają rządu z trzech lat sprawowania władzy i niespełnionych obietnic, zaś z niespotykaną gorliwością albo roztrząsają rządy PiS sprzed lat, albo obecny stan tej partii i dokonują egzegezy każdej wypowiedzi jej liderów. W takiej sytuacji dyskurs polityczny przestał być areną ścierania się poglądów i merytorycznych racji. Stosując propagandowe chwytły i dyskredytując racje opozycji bez podejmowania jakiegokolwiek debaty, obóz władzy stara się zawłaszczyć, zmonopolizować sposób myślenia społeczeństwa o funkcjonowaniu państwa. Przykładem takiego działania jest podejście obozu władzy do tragedii smoleńskiej i śledztwa w tej sprawie. Nie tylko opozycja i sympatycy poległego prezydenta, ale i rodziny ofiar są poddani polityczno-medialnej presji, by pozostawali poza procesem wyjaśniania przyczyn katastrofy, żeby czasem nie odkryli, że popełnione zostały błędy w funkcjonowaniu państwa kierowanego od trzech lat przez rząd PO.

Najważniejsza różnica w obecnej sytuacji monopolistycznej dotyczy jednak podejścia do opozycji. Poprzednie monopole, choć rywalizowały z opozycją i utrudniały jej funkcjonowanie, to jednak nie

posunęły się do działań na rzecz trwałego jej wyeliminowania ze sceny politycznej. A tak się dzieje dzisiaj. Liderzy polityczni obozu rządzącego, wykorzystując celebrytów oraz sprzyjające media, starają się wyszydzić poglądy opozycyjne, usunąć je z dyskursu politycznego, a nawet przekonać społeczeństwo, że główna partia opozycyjna jest siłą antysystemową, a tym samym niedemokratyczną i nie posiada legitymizacji w demokratycznym państwie. Co ciekawe, nie używa się w tych potyczkach argumentów merytorycznych. Nie toczy się dyskusja o podatkach czy infrastrukturze państwa. Argumenty i pytania opozycji kwituje się zwykle epitetami i osobistymi napaściami, często o charakterze wulgarnym. Niektórzy nie stronią nawet od makabrycznych żartów w stylu, że przeciwnika należy ustrzelić i wypatroszyć.

Zawłaszczyc dyplomację

Taki sposób funkcjonowania obozu władzy niestety nie ominął również polityki zagranicznej. Cały repertuar wspomnianych wyżej instrumentów działania zastosowano już w poprzednich latach wobec śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Od początku istnienia kohabitacji przypuszczono atak na prerogatywy prezydenta. Istnienie ośrodka prezydenckiego jako strażnika wartości i zasad konstytucyjnych, audytora i recenzenta działań rządu nie mieściło się w monopolistycznej koncepcji władzy PO. Stąd szybko pojawiły się opinie i apele o zmianę Konstytucji w kierunku tzw. systemu kanclerskiego.

Szczególnie w sferze polityki zagranicznej i bezpieczeństwa starano się ograniczyć, a nawet odebrać prezydentowi i jego współpracownikom ich prerogatywy. Czy to przez Trybunał Konstytucyjny, czy decyzje administracyjne w sprawie samolotu, czy przez embargo informacyjne starano się nie dopuścić prezydenta do wykonywania przynależnych mu zadań w polityce zagranicznej. Jeśli to nie skutkowało, podejmowano działania dyskredytujące prezydenta, wyszydzające jego politykę, wyjazdy i spotkania międzynarodowe. Szczególnie krytykowano jego zaangażowanie w regionie na rzecz integracji państw regionu z NATO i Unią. Zaś prezydenckie zabiegi o uzyskanie podmiotowości w Unii Europejskiej przedstawiano i w kraju, i za granicą jako politykę antyeuropejską i awanturniczą. Jagiellońskie marzenia o współkształtowaniu polityki europejskiej i giedroyciowskie zasady polityki wschodniej, które były kanonem naszej dyplomacji przez kilkanaście ostatnich lat, określono jako przeżytek, który miał zostać zastąpiony piastowskim czynem modernizacji Polski.

{modulebot:75}

Od trzech lat partia rządząca usiłuje przekonać partnerów na świecie, że w Polsce toczy się wojna sił postępowych i europejskich z siłami konserwatywnymi, antyeuropejskimi, a nawet ksenofobicznymi. Wykorzystuje się między innymi dyplomację rządową, wielu naszych przedstawicieli w biurokracji unijnej sponsorowanych przez zagraniczne fundacje ośrodków analitycznych czy korespondentów mediów zagranicznych. I znowu język jest pełen sloganów, a nie merytorycznych racji. Odmienia się na wszelkie przypadki terminy: "Europa", "europejskość", "integracja", "modernizacja" etc., co ma wywołać wrażenie, że ludzie posługujący się nimi są ze wszech miar postępowi i światowi oraz akceptowani czy wręcz namaszczeni przez Unię Europejską do sprawowania władzy. Wytwarza się iluzję, że ambitna, podmiotowa polityka poprzedników w rzeczywistości była romantyczną mrzonką, była awanturnicza i słusznie została zastąpiona obecnie przez mądrą, realistyczną i pragmatyczną politykę rządu Platformy. Wszelkie ośrodki krytyczne wobec takich poglądów były i są izolowane, pozbawiane funduszy i informacji, wreszcie obrzucane epitetami, że są ministerstwami wojny, okopami Świętej Trójcy etc. I tak jak w kwestiach polityki wewnętrznej, tak na temat polityki zagranicznej nie podejmuje się rzeczowej debaty z jej krytykami. Wszelkie opinie czy propozycje wysuwane pod adresem polityki zagranicznej spoza kręgów władzy spotykają się z oskarżeniami o straszenie społeczeństwa i z wybuchami gniewu w stylu stwierdzeń: "jak tak można?", "to kompromitacja", "to żenujące, niedopuszczalne" etc. Przykładów na to dostarczyła między innymi debata prezydencka i propozycja rzucona przez jednego z kandydatów, jak i z kim rozmawiać o problemie Białorusi, z którym rząd nie daje sobie rady od lat. Mamy więc kolejną próbę zawłaszczania całego dyskursu politycznego przez jedną stronę, tym razem w dziedzinie polityki zagranicznej.

Niebezpieczna marginalizacja Polski

Rząd od kilku lat prowadzi zatem politykę ograniczania aktywności polskiej dyplomacji. Padają przy tym różne motywy i wymówki. Od potrzeby oszczędzania środków finansowych po hasła o konieczności skoncentrowania się na wewnętrznej modernizacji państwa. W rzeczywistości takie odejście od aktywności dyplomatycznej i zerwanie z wieloma dotychczasowymi kanonami polskiej dyplomacji i

naszego zaangażowania w świecie jest wynikiem kalkulacji partyjnej na użytek wewnętrznej sceny politycznej. Takim kalkulacjom zawdzięczamy decyzje o całkowitym wycofaniu się z Iraku w 2008 roku, ochłodzeniu naszych relacji z USA czy ostatnio podjęcie publicznej debaty w czasie kampanii wyborczej na temat wycofania się z Afganistanu. Takie podporządkowanie interesów państwa jedynie kalkulacjom partyjnym powoduje, że nie można rzeczowo ocenić jakichkolwiek działań zewnętrznych państwa i im zaufać. I tak nie wiemy, czy negocjowanie prawie trzydziestoletniego kontraktu gazowego służy interesowi państwa czy jakimś doraźnym korzyściom, lub czy ważny okres polskiej prezydentury w Unii będzie wykorzystany do promowania naszych interesów w Europie, czy raczej jako wielka i międzynarodowa kampania rządu przed wyborami parlamentarnymi.

Zmniejszanie aktywności polskiej polityki zagranicznej jest niebezpieczne w kryzysowej sytuacji, jaka panuje w najbliższym otoczeniu naszego kraju i w Europie (kryzys finansowo-ekonomiczny Unii Europejskiej, neoimperialne zakusy Rosji na obszarze postsowieckim, inercja NATO względem tego trendu). Należałoby oczekiwać w takiej sytuacji, że rząd podejmie starania o odbudowanie konsensu politycznego w dziedzinie polityki zagranicznej. Uaktywni naszą dyplomację, aby inni za nas i bez nas nie podejmowali decyzji dotyczących naszych interesów.

Tymczasem w sposób nieprzemyślany, i znowu dla doraźnych korzyści partyjnych, podjęto w kampanii prezydenckiej debatę o wycofaniu się z Afganistanu. Było to szczególnie niebezpieczne dla Polski. Operacja w Afganistanie jest operacją NATO, które właśnie debatuje nad nową koncepcją strategiczną, na której Polsce powinno szczególnie zależeć. Przez wiele lat pozostaniemy państwem peryferyjnym zarówno w Unii, jak i NATO, ponosząc wszelkie konsekwencje tego położenia w dziedzinie bezpieczeństwa. Polska zabiegająca o solidarność sojuszniczą nie może sobie pozwolić na egoistyczne gesty. Nie możemy stracić wypracowanej przez lata opinii wiarygodnego sojusznika. W przeciwnym razie nasze interesy nie będą respektowane przez sojuszników, a nasze działania będą traktowane jako niewiarygodne, doraźne i koniunkturalne.

Test prezydencki

W takich oto okolicznościach, wobec takich działań rządu na scenie wewnętrznej i międzynarodowej funkcje prezydenta przejmuje polityk mocno związany z obozem władzy. Będzie miał do wyboru: albo utrzymać ośrodek prezydencki jako niezależny urząd stojący na straży Konstytucji, wartości, interesów państwa, doktryny polityczno-obronnej i wieloletnich kanonów polityki zagranicznej, albo podporządkować się interesom partii rządzącej i przekształcić urząd prezydenta w ośrodek adoracji premiera i jego polityki.

Już pierwszy test, pierwsza podróż zagraniczna może określić kierunek prezydentury. Nowy prezydent może podjąć ambitny plan odbudowania pozycji Polski w regionie, a przez to w Unii. Układ polityczny w naszej części Europy pozwala obecnie na uaktywnienie się Polski, na stanie się rzecznikiem regionu zarówno wobec Zachodu, jak i Wschodu. Zamiast składać wiernopoddańczy hołd Brukseli, proponowałbym objechać w jeden dzień Pragę (odwiedzić naszego najdłuższego sojusznika prezydenckiego), następnie Budapeszt (gdzie władzę odzyskał podobnie jak my myślący i ambitny Orban) i zakończyć kolacją w Bukareszcie (gdzie Rumunia to drugi największy kraj w regionie, który przejął od nas uprzywilejowane relacje z USA). Wyposażony w wiedzę o sytuacji w regionie prezydent mógłby następnie odwiedzić Berlin i Paryż, aby poważnie porozmawiać o stanowisku tych stolic wobec problemów naszego regionu i naszej wspólnej polityce wobec Rosji oraz o relacjach transatlantyckich. Dopiero po takich podróżach i rozmowach prezydent powinien spotkać się z urzędnikami brukselskimi, aby poinformować ich o polskiej wizji polityki Unii i NATO i zapytać, jak chcą uwzględnić ją w swoich planach działania. Ciekawe zatem, czy nowo wybrany prezydent zechce kontynuować ambitne działania swojego poprzednika na rzecz uzyskania podmiotowości w instytucjach, do których należymy, czy raczej za namową rządu pozwoli Polsce nadal wtapiać się tylko w główny nurt polityki europejskiej, który raczej kieruje nas na peryferie unijnego mechanizmu decyzyjnego.

Witold Waszczykowski

Autor jest dyplomatą, byłym zastępcą szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego (2008-2010); w latach 2005-2008 pełnił funkcję podsekretarza stanu w MSZ, a także głównego negocjatora w rozmowach z USA dotyczących tarczy antyrakietowej.

{seyretpic id=159 align=center}